

odpowiedziała pieśnią pochwalną, zgodnie zresztą z tradycyjnym obyczajem. Mogła znać euforyczne pieśni stale powtarzane przez Żydów, chociażby śpiewy prorokini Debory czy Anny, matki Samuela. W każdym razie ekstatycznie wymówiła semicki kantykt, widząc w nim samą siebie w dwóch zupełnie odmiennych odsłonach: jako tę biedną, uniożoną służebnicę Pana, ale też jako tę, którą odtąd będą „błogosławić wszystkie pokolenia”. Wypada Jej hymn podzielić na trzy zasadnicze części.

W pierwszej wychwalała Boga za to, że spojrział na nią i wybrał na matkę swego Syna, Ją niegodną i pokorną. W dalszej części proroctwa Maryja uwypukla wielki Boży przymiot, jakim jest miłosierdzie, w świetle którego ludzkie życie nabiera godności, nieustannie otaczane troską i zabezpieczane przed zakusami grzechu. I wreszcie w końcowych fragmentach hymnu Maryja cieszy się podwójnie, ponieważ wszelkie zapowiedzi i obietnice dane przez Boga zostały na Jej oczach spełnione. Bóg staje wobec człowieka i zaprasza go, by podjął służbę Bogu, służbę wierną, spokojną, pozbawioną ziemskiej wspaniałości. Skoro Bóg mówi w ukryciu, niechże i człowiek oddaje Bogu cześć w ciszy i skromności. Dlatego głębi ludzkiej pokory odpowiada w każdym przypadku wielkość darów zsyłanych przez Stwórcę.

Jakie wnioski wysnujemy z przywołanych zdarzeń? Nade wszystko trwałe przekonanie o niezbędności wiary, w świetle której to, co nas spotyka w życiu i to nasze życie kształtuje, rodzi się zawsze za sprawą Ducha Świętego. Wystarczy spojrzeć na swoje dotychczasowe dni, przemyśleć ich przedziwną logikę, by od razu pojąć, że podążamy tropami Kogoś, kto nigdy nas nie opuszcza, chce, abyśmy pozostawali osobami szczęśliwymi. A po drugie: mamy szansę odkryć, że znakiem ukazującym nasz rzeczywisty związek z Jezusem jest to, czy odpowiadamy na prośby tych wszystkich ludzi, którzy oczekują od nas pomocy, którzy pokładają w nas swoją nadzieję. To doprawdy istotne kryterium siły wszelkiej religijności oraz humanistycznej wrażliwości.

PEŁNA ŁASKA

Adwent, czego niewątpliwie już zaznaliśmy, to czas oczekiwania, czyli taki moment drogi do Boga, w której „jakby” Boga w nas jeszcze nie było. Proszę odpowiednio zrozumieć to, co piszę. Nie chodzi tu o to, że w ogóle Boga nie spotkaliśmy. On bowiem realnie narodził się w palestyńskiej lepiance, przyjął ludzkie ciało, w konkretnym miejscu i czasie. Spełniło się Izajaszowe proroctwo: „Wszyscy ludzie ujrzą zbawienie Boże” (Łk 3, 6). Zatem i do nas dotarła łaska, święta życzliwość Narodzonego. Ponieważ jednak życie jest uwikłane w sieci grzechu i najróżniejszych słabości, przeto wszystkie ludzkie

ukierunkowania ku Bogu nie mają pełnego wymiaru. Wydobywają się poniekąd z mroku ułomności, z mroku kultury, która wciąż traci religijną pamięć i zdaje się coraz bardziej polegać tylko na sobie i swych możliwościach.

Na szczęście doświadczyliśmy obecności Maryi, przyjmującej od anioła Gabriela niespotykaną wieść o nadchodzącym zbawieniu człowieka. „Jesteś łaski pełna” – powiedział on do zadziwionej dziewczyny. To staropolskie słowo zaciera nieco grecki sens wyrażenia, które sugeruje, że z życia Maryi promieniowało zauważalne duchowe piękno, odczuwalna moralna harmonia. Mogła więc stać się „drugą Ewą”. Jako niepokalanie poczęta, mocą przewidzianych zasług Jezusa, nie dała się niczym zwieść. Potrafiła przeciwstawić się – inaczej niż kobieta w raju – perswazjom zła i przyjąć dar Boskiego macierzyństwa.

W związku z tym nasze życie ma nabyć takiej energii, by móc sprzeciwić się każdej formie zła czy niesprawiedliwości, ale również budować żywy dom, w którym może rodzić się i zatrzymywać Chrystus. Ważne jest tutaj słowo „może”. Często wszakże jakość naszego życia wskazuje, że na Boga wcale nie czekamy. Dlatego wsłuchujemy się w przesłanie Jana Chrzciciela, którego narodzenie zostało zapowiedziane przez anioła, objęte w łonie matki żarem Ducha Świętego. Być może już w dzieciństwie Jan udał się na Pustynię Judzką. Prowadził surowe pustynne życie i po jakimś czasie zaczął głosić mowy pokutne i chrzcic nad Jordanem. Obecnie zachęca, żebyśmy się starali być świadkami ewangelicznej prawdy. Być jej głosem – nigdy pięścią, choćby nawet kosztowało nas to wiele. Jako chrześcijanie musimy po prostu ryzykować, by nie skłamać własnego życia, nie wstydić się prawdy, dzisiaj zniesławionej i niemal porzuconej.

Tymczasem od Jezusa słyszymy nieugięte przesłanie: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem”. A do Niego mamy przecież dostęp, spotykamy się z Nim w Eucharystii, w sakramentach świętych, w modlitwie, wspomagani łaską, o ile unosi nas płomień wiary. Prawda i życie Jezusa nakładają się na siebie, ujawniając fundamentalny przekaz o najwyższej miłości, wyrażającej się poprzez oddanie życia za wszystkich ludzi. Powinniśmy przeto odpowiadać miłością na obecność Jezusa. W ten sposób będziemy rzeczywiście przygotowani na wielkie świadectwo przeżycia.

ODKRYWANIE BOGA NA NOWO

Ludzie wierzący oczekują Bożego Narodzenia z drżeniem serca i nieukrywaną

radością. W tym roku radość ta nie jest łatwa. Wymaga silniejszej niż dawniej wiary i zaufania. Nie mam na myśli tego, że zabrałoby warunków do duchowego uniesienia, że z trudem uczestniczymy w obietnicy Bożej, która spełnia się w dowolnej indywidualnej historii. Chodzi najbardziej o to, że opanowała nas apatia i powoli zapominamy, że nic, co ludzkie, nie jest i nie może być obce samemu Bogu. To On wędruje z nami i zbawia w mrocznych ziemskich dziejach.

Właśnie dlatego powinniśmy odkrywać Boga na nowo, uczyć się od początku wiary w dosłowność obietnicy, że oto Mesjasz faktycznie przychodzi, dokonując radykalnej zmiany perspektywy. Wcielony Bóg stał się Emmanuel. Dotyka nas w konkretności prywatnej egzystencji, wrażliwości i podatności na zranienia. Naszym zadaniem jest uświadamianie sobie i nazywanie owych miejsc

dotyku Boga. Różne są to miejsca i różnie nazywane. Boża obecność jest gwarantem wskazanej różnorodności.

Kiedy anioł odszedł od Maryi, Ona nie została sama. Został z nią Bóg, który zamieszkał w Niej. Niebawem po narodzeniu Maryja, Józef i Jezus gotowi są do podjęcia tułaczki. Ta brutalna konfrontacja Wcielonego Boga z realiami świata nie była zgodą na dziejącą się niesprawiedliwość. To raczej wyraz gotowości na przyjęcie nieznanego i nieoczekiwanego, jak też gest solidarności z wypędzonymi, nękanymi i prześladowanymi. Wciąż ich bowiem nie brakuje, i to nie tylko z powodu coraz bardziej wyrafinowanych form międzynarodowych konfliktów, ale również dzięki rosnącej bezdusznosci i nietolerancji środowiskowej, nierzadko w imię szczytnych ideałów.

Z tak ukształtowanymi sercami powinniśmy zasiąść do wigilijnej wieczerzy. Choćbyśmy nie mogli być wszyscy razem, choćby rozdzieliła nas siła epidemii – nie zamartwiajmy się. Zachariasz, ojciec Jana Chrzciciela, wyśpiewał radosne uwielbienie. Miał no temu powody. Ale i my je mamy. Boga z naszego życia i ze społeczeństwa, które współtworzymy, nie ani nikt nie zgoła wykorzeń. Boga można znieważać, wyrzucić z osobistej świadomości, wyszydzić. Ale nie można Go zabić w żywym, wierzącym sercu. Choćby się chrześcijan zamknęło w odosobnionym getcie, pozamykało świątynie i zmusiło do milczenia. Pieśń adoracji za dary płynące z nieba nigdy nie przestanie rozbrzmiewać. A biały opłatek zawsze będzie łączył i gromadził wokół siebie tych, którzy otwarci są na Bożą życzliwość. Ufam, że i tego roku nic się w tej sprawie nie zmieni.

